Nr. 15. Rok II.

We Lwowie 14. Kwietnia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:
W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**
„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

Od Administracji: Z różnych stron zapytywani o przyczynę opóźnionego wydania Nr. 14. objaśnić winniśmy, że z powodu, iż w ubiegłym kwartale bylibyśmy zmuszeni dać o jeden numer więcej, tj. czternaście zamiast trzynastu, odłożyliśmy wydanie N. 14. do soboty d. 7. kwietnia, jako początku drugiego kwartału, a tem samem uregulowaliśmy nakład naszego pisma — które odtąd, po usunięciu wszelkich dawnych przeszkód jak najregularniej co sobotę będzie wychodziło.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 16. „Ziarna“ wyjdzie d. 21. Kwietnia 1883.

Nr. 15. We Lwowie dnia 14. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Z kwietniowym śniegiem.

Z kwietniowym śniegiem? Cóż nowu! Wszakże kwiecień jest miesiącem kwiecia, w którym drobne pierwiosnki i leśne modre sasanki wychylają już swe kraśne kielichy ku słońcu i ciepłu, oddychając z roskoszą pierwszemi balsamicznemi powiewami rodzącej się wiosny... Tak, zapewne — dziś jednak:

Zawcześnie kwiatku zawcześnie
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie
Dąbrowa jeszcze nie sucha......

Nie sucha — dmą lute wichry, wieją śnieżne zamiecie, ziemia pokryta jeszcze białym całunem śniegowym, a z pośród twardej grudy i zimnego błota żadne ziarno nie śmie zrzucić swych grubych liścieniowych pokryw i strzelić swobodnie i wesoło ku światłu....

A czas by już i wielki. Czyż nie przebyliśmy długich, mroźnych miesięcy bezlitośnej zimy, czy niedość długo jeszcze wszelkie życie żywiące kryło się po kątach i rowach, przywdziewało na się grubą baranią odzież; czy nie liczyliśmy niecierpliwie długich, ciemnych nieprzespanych nocy czy nie czas, gdy nastąpiło już wiosenne przesilenie dnia z nocą, gdy rozkoszna Nija, nadobna córa Żywienny wstąpiła na zlodowaciałą ziemię, a zakochany w niej Śmigus rozkuł rzeki z lodowych wrzeciądzy i rozlał szeroko wody po łanach i smugach, gajach dąbrowach, gdy spłynęły już po niwach i ugorach, a ruń ozima rwie się gwałtem ku słońcu i ługi pragnęłyby przywdziać barwniejszą szatę świąteczną, utkawszy swe kosy złotolistnym kaczeńcem.... Czyż nie czas.

I latający mieszkańcy naszych lasów oczekują jej niecierpliwie. Zwiastun wiosny, skowronek już by wzbił się wysoko, wysoko po nad świeżo przeoraną skibę i kąpiąc się w promieniach słońca rad nucił swą radośną piosenkę. I starzy nasi przyjaciele długodziobe boćki chcieliby, powrócić z dalekiej podróży zasiąść na starych swych gniazdach ojczystych i poważnym klekotem przywitać opuszczone siedziby i porzuconych mimo woli sąsiadów...

I to co tkwi, rośnie na miejscu — pragnęłoby rześko skrzydła rozwinąć i wszelkie ptactwo, które wygnała z domu nieubłagana, mroźna konieczność radeby zatrąbić pobudkę powrotu, któraby weselej brzmiała jak ciche sygnały odlotu.

Niezawodnie, wszystko z upragnieniem oczekuje wiosny, a jej jak niema, tak niema! Bezlitośna zima trzyma ją w swych mroźnych okowach i tłumi wszelki swobodniejszy ruch ku światłu, swobodzie i ciepłu.

Myśli te cisną się gromadnie i gwarno, gdy przed dalekowidzącym wzrokiem naszej wyobraźni stanie urocza postać wiosny natury i życia... Jakże różną jednak od czarującego tego obrazu jest naga rzeczywistość. Spojrzyjcie przez okno. Śnieg miecie i miecie jak w lutym, a mróz, żeby go inszy grudzień i styczeń pozazdrościł. Dumamy więc dalej zapatrzeni posępnie, a myśl ta wiecznie, buntownicza, niespokojna i ciekawa snuje coraz dalej wątek nawiązanej myśli i na tle odwiecznej walki wiosny z zimą, życia ze śmiercią, wybiegłszy po za ciasne szranki naszych zmysłów odsłania nam rozległe widnokręgi, za nami i po za nami, utkane wzorzystą i barwną siecią minionych i nienadeszłych wydarzeń i wypadków.

Praojcowie nasi, którzy w bliższej żyli z całą naturą styczności i kolei ludzkich nie odrywali tak bardzo od losów otaczającej ich przyrody na podstawie tego sprzeciwieństwa oparli pyszną legendę o Ormuzdzie i Arymanie, o dwóch potęgach, zawzięcie walczących ze sobą, o walce dobrego i złego, nocy i światła zimy i wiosny.

I choć w nawidzanych klęskami i ciemiężonych Indjach wyrodziła się pełna rezygnacyjnej rozpaczy nauka Nirwany (małpowana obecnie przez niektórych niemieckich filozofujących filistrów), która powiadała, że nicość jest najwyższą roskoszą jaka ludzkość oczekiwać może, że jest ona zresztą niecofnionym i jedynym jej udziałem: choć surowi i beznadziejni sceptycy spokojnie pozbawiali się życia, lub szli przez niego zahartowani na przeciwności, nieczuli na zwodnicze roskosze — obojętni — choć czasem rozpacz w czarniejszej jeszcze doli gasiła niejednokrotnie wszelkie błędne nawet płomyki nadziei, to jednak rzeczywistość nie zawsze była tak zimna i nieubłagana, a ilekroć pękało choć jedno ogniwo krępującego

jej łańcucha — człowiek myślą choć, nadzieją biegł ku wiośnianym blaskom ludzkiego życia i rad chwytał ustami choć kropelkę słodyczy z kielicha, jaki ono ma dla wybranych szczęśliwców. Ci co kosztowali go tylko, lub niedopili, w braku samej ambrozji marzyli o niej, o szczęściu, o życiu. Gdy już rzeczywistość zbyt mało odpowiadała tym marzeniom, przenoszone je w życie przyszłe, gdzieś po za świat, po za materję, po za skończone granice czasu. I chrystusowe „królestwo boże" nie było początkowo po zaświatem. Pierwsi uczniowie nowej ewangelii, jak to wytłomaczył Renan, oczekiwali nadejścia go bezpośrednio na ziemię, za swego życia, oczekiwali przyjścia Chrystusa jako rzeczywistego króla tego przyszłego państwa i nieubłagana rzeczywistość przeniosła dopiero owe królestwo za światy, przyoblekając ja wprzejrzystą szatę ideału, który nawet blaknął powoli i pierwotną swą czystość utracał.

Inni nie przestali walczyć za zwycięstwo Ormuzda nad Arymanem na ziemi i wierzyć w rzeczywiste nadejście królestwa na ziemi. I wiara ta zyskuje coraz bardziej swe naukowe wytłumaczenia w coraz większej znajomości kolei ludzkich i środków, jakiemi ludzkośc dla swego uszczęśliwienia rozporządza.

Jesteśmy jednak jeszcze na przełomie zimy i wiosny. Spadają na nas kwietniowe śniegi i zamiecie, choć czas by już było odetchnąć i piersią całą wchłonąć balsamiczne powiewy wiosenne....

Przebyliśmy dość. Wieki całe panował ucisk, stulecie całe pokrywały nas ciemności Erebu. Zahukani i ciemni nie znaliśmy dróg wyjścia. Szliśmy prowadzeni na pasku i wierzyli w to co nam powiedziano, w to zresztą co wiedziano — a wiedziano nie wiele.

Powoli jednak krzesały się iskry niepodległej wiedzy w tej ciemności, a zapalane coraz liczniejsze pochodnie rozświeciły nam tyle już tajemnic natury i życia. Z światłem tym w ręku pójdziemy lepszą sobie zdobyć dolę.... Idziemy też ku niej i po drodze tej wskazać byśmy mogli na przebyte etapy. Bywało, różnie i różnie jeszcze będzie, z drogi tej jednak nic już nie cofnie, leży ona w prawach zbiorowego życia ludzkiego, a jak po nocy dzień następuje, a po surowej ziemi łagodna i orzeźwiająca wiosna, tak i po latach niedoli nastaną lata lepszej doli. Jesteśmy na przełomie, wpół drogi....

Tylko te kwietniowe śniegi!

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

IV.

U Karpat podnóża, na równinie, przez którą rzeka Stryj płynie, falą wartką, z jednej strony oparta o wzgórza wyniosłe, z drugiej okolona ławą żwiru białego, leży wioska Bereżnica. Nazwisko nie jest rzadkie: powtarza się ono często na Rusi Czerwonej, gdzie prawie nie znaleść większego kawałka ziemi, żeby na niem nie było Bereżnicy szlacheckiej, królewskiej, lub jakiej innej. W jednych mieszkają włościanie, w drugich na mocy przywilejów królewskich osiadła szlachta. A że według zwyczaju, w dawnej Polsce przyjętego, panowie brali nazwisko od włości, z której ród wywodzili, więc i każdy mieszkaniec takiej Bereżnicy szlacheckiej, zwykł się był nazywać Michałem, Stanisławem, lub Janem z Bereżnicy, Bereżnickim. Tym sposobem mieszkańcy wsi całej, mieli jedno, wspólne nazwisko.

Bereżnica, do której czytelnika wprowadzamy, była także szlachecka i miała samych Bereżnickich. Chociaż wieś była czysto ruska, dzięki klejnotowi schlacheckiemu, nadanemu jej przez Króla Jana Kazimierza, powierzchowność jej mieszkańców powoli całkiem się zmieniła. Mężczyźni byli rośli, silnie zbudowani i wejrzenie mieli pewne siebie, prawie zuchwałe, czem odróżniali się od zawsze cichego, pokornego i nędznie wyglądającego chłopa ruskiego; — dziewczęta zaś, zamiast jak ruskie wieśniaczki zawodzić pieśni żałośne i boso chodzić na robotę, wyśpiewywały sobie wesoło, ubierały się strojno, nosiły trzewiki, a były między niemi i takie, które bez rękawiczek, jakkolwiek najczęściej z prostego płótna zrobionych, nie wychodziły nigdy kopać do ogrodu. Do mężczyzn mówiono „panie Janie", „panie Michale" — dziewczęta były wszystkie „pannami". Kojarzyli się między sobą, lub ze szlachtą okoliczną, i taki pierwszy lepszy „pan Stanisław" prędzejby się na mary położył, niżby córkę wydał za „chama", lub „mudja", jak chłopów nazywał.

Za klejnotem szlacheckim poszła zmiana wyznania i języka. Niegdyś Unici, teraz są już wszyscy rzymskimi katolikami i ruskiego języka, którym rozmawiali ich ojcowie, oddawna się wstydzą. Chociaż po polsku jeszcze się dobrze nie nauczyli, ciągle po polsku między sobą rozmawiają, bo z tłumu wieśniaczego pragną wyróżnić się nietylko przywilejem i wyznaniem, lecz także mową.

Zamiast pańszczyzny, od której jako szlachta byli wolni, opłacali właścicielowi wioski za posiadaną ziemię czynsz, stosunkowo niewielki i ztąd poszła ich nazwa, szlachty czynszowej. Ziemia niosła im tyle, ile potrzebowali na opędzenie swoich skromnych potrzeb, ale ponieważ wydarzały się często klęski elementarne, po których głód mógł nastapić, a prócz tego i właścicielowi wypadało czasem pomódz, chłopi bowiem w innych włościach, byli tak nieliczni, że zaledwie we własnych wsiach mogli dworską ziemię uprawić, więc panowie szlachta wychodzili także na zarobek, a wychodzili tłumno i gwarno, jakby na sejmik [illegible]aki. I broń Boże, żeby ich kto chciał wtedy z chłopami pomięszać! Takiej obrazy nigdyby nie zapomnieli.

Raz zdarzyło się, że pod nieobecność hrabiego i jego rządcy, pani domu, hrabina Eufemia, chcąc okazać jak znakomitą jest gospodynią, wydała rozkaz ekonomowi, by szlachtę i włościan wziął razem do pszenicy, która od dni kilku na sierp czekała. Szlachta, dowiedziawszy się o tem, poczęła mruczeć. Nareszcie jeden ze starszych wziąwszy sobie dwóch do asystencji, udał się do pałacu i rzekł do hrabiny:

— Proszę jaśnie panią, my z chamami na jednem łanie robić nie będziemy.

Hrabina w Paryżu wychowana, nie mogła tego zrozumieć,

— A to czemu? — zapytała z drwiącym uśmiechem.

— Bo szlachcic szlachcicem, a cham chamem! Przecie pani hrabina, jako szlachcianka i do tego karmazynowa, rozumie, że takie bratanie się z mudjami na jednem łanie, ubliżyłoby naszemu klejnotowi szlacheckiemu. U nas tylko szlachta równa, ale chłopu od szlachcica wara!

— Kiedy takimi są arystokratami — odparła hrabina, obracając się do ekonoma— to niech Krukowski pójdzie z nimi i da im tam osobno. Tylko trzeba doglądać, żeby silnie robili.

— O! proszę panią hrabinę! — przemówił znowu najstarszy -- toby dla nas był jeszcze większy „kunirunek". Szlachcic wie, co do niego należy i nikt go nie będzie doglądał

Hrabina lękając się burzy, ustąpiła, szlachta zaś poszła na łan i przez pół dnia więcej zżęto pszenicy, niż równa liczba włościan na drugim łanie przez dzień cały.

Szlachta czynszowa miała swoje cnoty: gościnność większa, niż włościanin, poczucie obowiązków i ofiarność dla kraju, lecz obok tego miała także wady starszej szlachty, mianowicie niesforność, zarozumiałość, skłonność do pijaństwa i kłótni, nareszcie ślepe

służalstwo dla możnych, co ją w oczach świata dzisiejszego poniża, a co wówczas kraj gubiło. Panowie wichrzyli, bo szlachta wspierając ich swemi głosami i szablami, pozwalała im wichrzyć. Jeżeli na kim, to na tej drobnej szlachcie sprawdzają się spostrzeżenia tych myślicieli, którzy utrzymują, że obok krwi i rasy jest także wychowanie, które na rozwój ludzki niemały wpływ wywiera. Ta szlachta, niegdyś w siermiędze chłopa ruskiego, łagodna i potulna, dziś zmieniła się na hałaśliwą i butną. Przykład szedł z góry, od szlachty, która miała włości, a z którą zagrodowa i czynszowa uważała się na równi. Tym sposobem wychowanie zmieniło w wielkiej mierze krew i rasę. Bryńscy, którzy jako potomkowie senatorów, otrzymali od rządu austrjackiego tytuł hrabiowski, nie mieszkali dawniej w Bereźnicy. Panowie rozległych włości, zaliczając się do możnowładców, kręcili się zawsze dokoła dworu, od którego otrzymywali zaszczyty i donacje. Dopiero po upadku Rzeczypospolitej, straciwszy trzy czwarte dawnej fortuny, zamieszkali w Bereźnicy. Niegdyś w usługach swoich miewali szlachtę bogatszą, która trzymając się pańskiej klamki, chciała przy jej pomocy wznieść się do dostojeństw: teraz zeskromniawszy, wzięli do dworu różnych panów Bereźnickich, z których jeden był marszałkiem, drugi kucharzem, a dwaj inni pełnili obowiązki leśniczego i ekonoma na odleglejszych folwarkach.

Ojciec dzisiejszego hrabiego, był pierwszym z rodu, który w Bereźnicy zamieszkał, i jemu to zawdzięczał pan Jacenty Bereźnicki, że w szkołach stanisławowskich nauczył się trochę czytać i pisać, poczem został marszałkiem dworu hrabiego. Pan Jacenty pełnił swoje obowiązki bardzo sumiennie, ale nagle zaczął na wzrok zapadać, hrabia oceniając, jak należało jego zasługi i stosując się w tem do dawnych tradycyj, kazał mu wydzielić z dworskich łanin sześćdziesiąt morgów wystawić domek mieszkalny i budyneczki gospodarskie, a że Jacenty niewiele grosza uciułał, więc dał mu jeszcze na początek parę wołów, parę koni, cztery krowy, najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze i sto srebrnych cwancygierów. Marszałek spłakał się jak bóbr i upadł do nóg hrabiemu, odtąd bowiem, przestawszy być szlachcicem czynszowym, został „zagrodowym", który za darowiznę nie potrzebował dworowi ani odrabiać, ani czynszu opłacać.

Pan Jacenty, ujrzawszy się sam w pustym dworku, pomyślał o ożenku, i mimo wzroku słabego, w garderobie pani hrabiny wyszukał sobie piękną i skromną panienkę, z którą po kilku miesiącach stanął u ołtarza. Żona powiwszy mu dwoje dziatek, syna i córkę, pożegnała męża i świat boży — a chociaż pan Jacenty opłakał jej stratę łzami krwawemi, nie poczytywał się za tak nieszczęśliwego, jak ongi, gdy był kawalerem, ponieważ odtąd miał dwoje dziatek, których głosy dom mu ożywiały, a dla których sam żyć potrzebował.

W tym czasie mieszkańcy pałacu także się zmienili. Stary hrabia, wdowiec od lat kilku, pospieszył za swoją żoną, a majątek po nim objął jego syn jedyny, który ożeniony z panną jakiejś wielkiej rodziny, dotąd mało przebywał w kraju. Przyjechawszy do Bereźnicy, nowy dziedzic pooddalał dawną służbę, a przyjął nową, w połowie niemiecką, w połowie francuską, hrabina bowiem nie mogła do innej przywyknąć — i całe gospodarstwo zaczął urządzać na wzór zagraniczny. Szlachta we wsi potrząsała głowami, a pan Jacenty Bereźnicki, mimo że nieraz głęboko westchnął i głośno powtarzał: ach! Panie Boże! nie tak to za mojego pana bywało! — dla nowego dziedzica, nie stracił ani miłości, ani szacunku. Za dobrodziejstwa, które z rąk ojca otrzymał, nie przestał być wdzięcznym synowi.

(C. d. n.)

Beatrix.

W rozigranych nerwów drzeniu
Gaśnie moich wrażeń czystość,
A w gorączki rozemdleniu,
Opowita widziadłami,
Chora dusza wciąż się mami —
Sen to czyli rzeczywistość?

Patrz! w gwiaździste strojna wianki
Zeszła do mnie w noc zimową —
Miała jasną twarz kapłanki,
Gdy podała znękanemu
Klejnot z swego dyademu
I szepnęła wiary słowo.

Ciepła dłoń jej w moim ręku —
Zatopiony w szeptach szczytnych
Jak w anielskiej arfy dźwięku,
Szukam gwiazdy mej w chaosie
I poznaję ją... po głosie
I po oczach jej błękitnych.

I oblała mnie promienna
Swych oddechów falą wrzącą:
„Wstań do życia, duszo senna!
Przez północnych mar zawiłość
Patrz! przynoszę tobie miłość,
Upragnioną tak gorąco!"

I widziałem ją w powodzi
Wieńców, pereł i szkarłatów..
Tak się każda miłość rodzi!
Więc jak feniks zmartwychwstałem
Nerwem każdym, sercem całem,
W tej miłości z gwiazd i kwiatów!

I gdy oczy wznoszę do niej,
Rozmodlony w hołdu hymny —
Ona wtedy na mej skroni,
Jak królowa uśmiechnięta,
Jak archanioł biała, święta...
Położyła okład zimny.

Gdy jej ręce czule pieszczę,
Ona rzekła: „Panu słabo?" —
Widzę ciebie, widzę jeszcze,
Z twoim zębem mamutowym,
W kaftaniku twoim płowym,
Widzę ciebie, stara babo!

* * *

Ach to temu, piękna pani,
Winna febry chora mglistość,
Że-m cię w ułud mych otchłani
W takiem monstrum ucieleśnił!...
Ale-m sen uroczy prześnił,
Nim go zwiała rzeczywistość!

Wł. Stebelski.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Cierpiał męki w tem dążeniu do doskonałości. Były to bole porodowe, znane każdemu pisarzowi, ale u niego były tak bolesne, że on wyskakiwał krzyczał i łajał siebie: „Ty głupcze! idjoto!" bo zaledwie pokonał jedną wątpliwość, a już powstawała inna. Jak zamagnatyzowany siedział nad biurkiem, pogrążony w milczącą rozwagę i zamyślony. Turgieniew jego przyjaciel wierny i bliski, który go tak często widział, twierdził, że było to wzruszającem widzieć jego, niecierpliwego, tak cierpliwym w boju z językiem. Nad jedną stronicą swego ostatniego romansu pracował przez cały dzień nieprzerwanie, wyszedł, aby zjeść, a wróciwszy wieczorem chciał leżąc już w łóżku zabawić się odczytaniem swojej kartki, znalazł ją jednak niedobrą, wyskoczył z łóżka — a lat miał 50 — zaczął w jednej koszuli kartkę przepisywać i przepisywał ją raz po raz przez całą noc, częścią przy stole, częścią kiedy go zimno stamtąd odpędziło — w łóżku.

Jakże on kochał i jakże przeklinał swoję mowę. Czyż to go nie znamionuje, że w Mme Bovary tylko na jednem miejscu się zapomina i mówi we własnem imieniu, a mianowicie tam gdzie oburzony w skutek tępej obojętności Raula względem wyznań miłosnych Emmy, brzmiących zwyczajnie a jednak wychodzących ze wzburzonej namiętności tak mówi: „Jakby pełnia uczuć nie wylewała się czasem z duszy w najpustszych porównaniach, jakby kto mógł dać dokładną miarę swoich potrzeb, wy-

obrażeń i uczuć, bo ludzka mowa jest tylko pękniętym kotłem, za którym wybijamy melodje tak brzmiące, jakbyśmy grali niedźwiedziom do tańca — wówczas, kiedybyśmy nimi chcieli gwiazdy rozczulić".

Taka skarga w takich ustach jest jednak tem, czem być odmawia ludzkiemu słowu: miarę bolesnego usiłowania wielkiego stylistę o doskonałość artystyczną.

Gdy się taka dążność raz w sztuce ukazała, nie może zaginąć. Żaden adept sztuk piszący po Flaubercie a rozumiejący swój pisarski ideał, nie może z czystem sumieniem postawić sobie znacznie albo istotnie mniejszych żądań. Dla tego są przyjaciele, duchowo pokrewni i uczniowie Flaubert'a najsurowszymi i najoryginalszymi stylistami naszego wieku.

Nie dla tego jednak, jakoby Flaubert sam był teoretycznym zwolennikiem oryginalności stylu. Wierzył on naiwnie w jeden styl ide, alny, absolutnie dobry. Nazywał ten styl, który starał się urzeczywistniać, zupełnie nie osobistym, ponieważ wcale nie wyrażał jego indywidualności, nie ukazującej mu się w tem co napisał.

Guy de Maupassant dowcipnie powiedział, że wyszarzane słowo: styl — to człowiek, dadzą się o nim odwrócić: „Ów człowiek — to styl". Był on, rzec można, uosobionym stylem. Nie jest to wcale nieistotną albo obojętną rzeczą, że pisarz przed wszystkimi innymi przedstawiający nowoczesny kierunek i nowoczesną formułę literatury francuskiej, bardzo daleki od tego iżby był naśladowcą przypadkowej natury albo (jak zwykle brzmi zarzut) fotografem, przeciwnie był nienagannym artystą.

IV.

Flaubert publiczności nie opowiedział o sobie nic ani nawet najdrobniejszego szczegółu. Zachował milczenie tak samo o zasadach artystycznych, jak i o życiu prywatnem. W tych okolicznościach należy zbadać wszystkie drogi stojące otworem, które mogą wprowadzić do wnętrza jego ducha, — a jedną z najbliższych i najlepszych jest dokładne studjum dzieł serdecznego przyjaciela, druha Ludwika Bouilhet. Na pozór wydaje się, że ci ludzie mają nierówne usposobienia i nierówne zdolności. Flaubert stawia epokę we francuskiej literaturze, Bouilhet był i jest poetą drugo, lub trzeciorzędnym; Flaubert był romansopisarzem, Bouilhet lirykiem i dramatykiem, ale ta nierówność mało dotyka istotnego charakteru przyjaciół kochali się, bo byli duchowo pokrewni nie bez ważnej przyczyny poświęcił Flaubert Bouilhetowi pierwszą książkę, a ów jemu nawzajem wszystkie najznakomitsze utwory. Uważne porównanie wykazuje tak silne analogje między poezjami Bouilhet'a a prozaicznymi dziełami Flaubert'a, i przez to zaostrza się wzrok na bardziej przysłonięte właściwości większego z nich.

Do najbardziej uwagi godnych poematów Bouilhet'a należą „Les fosiles", — rozpoczyna się wspaniałym obrazem przedpotopowego świata z życia przedpotopowych zwierząt, a potem w formie poetycznej i w duchu naukowym zarazem – śledzi historję rozwoju ziemi aż do wystąpienia człowieka, kończy się zaś natchnioną wizją przyszłych czasów ludzkości.

To upodobanie do kolosalnych, dziwnie ogromnych przedmiotów — odnajduje się u autora „Salammbo"; widzimy w odgrzebywaniu zaginionych ludów i religji u Flauberta ten sam pociąg do „wykopalisk" jak u Bouilhet'a, a nakoniec okazuje się u Flaubert'a wyraźnie skłonność, pojawiająca się tu i owdzie w dziełach przyjaciela, aby naukę i poezję stopić w jedno.

Tak, jak Flaubert zagłębiał się w literaturę klasyczną i semicką, — Bouilhet studjował język chiński i w długim szeregu poezji obrabiał chińskie motywy i przedmioty Obaj starali się owymi badaniami i poetycznymi eksperymentami, jakie w nich wzięły początek, usunąć się od wieku, który był im wstrętny, obydwa nieświadomie poszli za przykładem Goetego. Ale przytem zaspokoił swój popęd, aby pokazać czytelnikowi względność wszelkich form życia, wykorzenić mu dumę z powodu „iż tak daleko doprowadziliśmy", aby mu przywieść na myśl przeczucie. że nasza cywilizacja po tysiącach lat wygrzebana i przedstawiona będzie się wydawać mało rozumniejszą od tej starożytnej lub odległej.

Obaj chcieli, aby świat dawny występował w historycznej albo przedhistorycznej czystości bez domieszki nowoczesnych dodatków i nie ustępowali przed żadną trudnością. Jakby to samo przez się nie było dość trudnem, odmalować świat przedpotopowy, jego dziwną wegetację i bezkształtne olbrzymie potwory, — pozbawił się Bouilhet wszstkich wyrażeń, przypominających nowożytne ideje. Opisuje pterodaktyle, plezjozaury i ichtjozaury, mamuty i mastodony nie nazywając ich; rozpoznaje je po postaci, po chodzie i zachowaniu. Całkiem podobnie powstrzymał się Flaubert w „Solammubo" nawet dalekiej alluzji do współczesnego świata; zdaje się, że go nie zna poeta, lub zapomniał, że istnieje. Artystyczna przedmiotowość zgadza się tutaj z naukową.

— A to jest rzecz główna u obu poetów. Ulegali świadomie lub nieświadomie nowej ideji o stosunku poezji do nauki Chcieli się przyczynić do tego, iżby poezję całkowicie wystawić na naukowych podstawach.

Najwyższą ambicją Bouilheta było według jego wyznania napisać poemat, któryby zbierał wyniki nowoczesnej nauki, i mógł być tem dla naszych czasów, czem podziwu godny poemat Lucrecjusza „De rerum natura" był dla starożytności. Flaubert widocznie miał też marzenie podobne. Ale życzenie wyraziło się bardziej stanowczo w skutek jego nienawiści do ludzkiej głupoty. Urzeczywistnił je w sposób negatywny i w dwócz różnych formach, w dziele „Pokusa św. Antoniego", gdzie robi przegląd wszystkich religijnych i moralnych systemów ludzkości pod postacią szalonych hallucnacji pustelnika, i w ostatniej powieści „Bouvard i Pécuchet", w której niezliczone błędy i omyłki dwóch biednych głupców dają poecie sposobność ułożyć rodzaj encyklopedji ze wszystkich obszarów ludzkiej wiedzy, do których się oni porywają. W „Pokusie sw. Antoniego" przedstawił tragiedją ducha ludzkiego; duch ludzki objawia się tutaj we wspaniałej miotającej się i skarzącej wściekłości. W „Bouvard et Pécuchet" narysował karykaturę, naiwną niewiadomość, fuszerstwo dyletanckie we wszystkich zakresach naukowych i technicznych, — uosobione w śmiesznej parze słonych przyjaciół.

Dzieło wyszło po śmierci i mamy tylko pierwszą część (w formie zbliżonej do wykończenia, w najwyższym stopniu charakterystycznym jest dla Flaubert'a zamiar, uzupełnienia tę część przez drugą, aby obraz uniwersalnej głupoty uczynić całkowitym; dwaj starzy dziwacy, którzy rozpoczynają i kończą swoję karjerę na pisaniu, mieli tam wykonywać myśl przepisać głupoty ze wszystkich najbardziej znanych pisarzów (włącznie z panem Flauberte'm) i zebrać je w jednym tomie.

Tak więc Flaubert i Bouilhet w pracy swojej kierowali się silnym popędem, w tej lub owej formie, pozytywnej lub negatywnej złożyć w dziełach rezultaty współczesnej nauki; do nich obu się odnosi, co Flaubert powiedział o Bonilhet, że główną myślą, genjalnym pierwiastkiem jego ducha był rodzaj naturalizmu, przypominający Odrodzenie. Ale kiedy Bouilhet utracił swą najlepszą siłę na dramaty mierne, tradycyjnie romantyczne, Flaubert nie zhołdował ani w jednej pracy tradycjom, w większym stopniu czynił głębokie naukowe studja jako przygotowanie do twórczości, i dla tego tylko u niego stosunek nauki i poezji jest nerwem i głównym przedmiotem zajęcia w dziełach.

V.

Zdaje się nieomal, jakoby za naszych dni kończyły się czasy, kiedy to romansopisarz pewnego pięknego poranku zasiadał przed arkuszem białego papieru i od

razu rozpoczynał wykonanie swego utworu.

Przynajmniej Flaubert wprowadził metodę poetyckiej produkcji, która ją mocno zbliża do naukowej. Aby uzyskać jedno wyjaśnienie we względzie swojego przedmiotu, przepędzał całe tygodnie w bibljotekach, przeglądał stosami miedzioryty, aby ułatwić się z ubiorem i postawą wcześniejszej generacji. Jako studjum przygotowawcze do Salammbo przeczytał 98 tomów starej i nowszej literatury a potem udał się w podróż do Tunisu, aby studjować widoki i pomniki starożytnej Kartaginy. Nawet aby odmalować takie fantastyczne widoki, jak w Legendzie o św. Juljanie, zwiedzał okolice mogące mu dać zbliżone wrażenie do tego, o jakiem marzył.

Skoro plan do jakiej książki przeniósł na papier, rozpoczynał dla każdego rozdziału badanie źródeł; każdy rozdział miał swoję tekę, która się ciągle zapełniała. Przeszedł cały zbiór „Charivari" z czasów Ludwika Filipa, aby „Cygana literackiego Hussonet w L'éducation Sentimentale" zaopatrzeć w dowcipy w stylu owoczesnym. Przestudjował niemniej jak 107 dzieł dla zapisania 30 stronic o rolnictwie w „Bouverdet Pécuchet". Wypisy porobione dla tego ostatniego romansu wyniosłyby w druku 5 tomów w ósemce.

Oczywiście w czasie tych studjów tracił tymczasem romans z oczu a zamierzał tylko powiększyć wiedzę. Upodobanie do gromadzenia wiadomości było a raczej stopniowo stawało się tak żywem, jak zapał przy kształtowaniu wątku duchowego.

Przeglądając jego dzieła w chronologicznym porządku znajdujemy coraz wyraźniejsze przechylanie się punktu ciężkości z poetycznego w naukowy pierwiastek, albo innymi słowy zamianę żywiołu ludzkiego psychicznego na zjawiska historyczne, techniczne i naukowe, które zabierają niezasłużone miejsce. Flaubert zawsze stał w obec niebezpieczeństwa zostania nudnym autorem — i stawał się nim coraz więcej.

Wyszedł ze słusznego mojem zdaniem uczucia, że poeta za naszych czasów nie może być tylko pisarzem bawiącym, maitre de plaisir. Czuł, że okręt poetyczny bez naukowego balastu naraża się na niebezpieczeństwo łatwego wywrotu. Ale stopniowo, z postępem rozwoju opanowała go namiętność pokonywania trudności; chciał wlec rzeczy najcięższe, unieść największe kamienie, i powoli obładował okręt tylu i tak wielkimi kamieniami, że się stał zbyt ciężkim, zanurzał się za głęboko i zleciał na dno. Ostatni romans jest tylko mozolnie uszykowanym szeregiem wyciągów z kilku tuzinów rozmaitych, umiejętności, prawie nieczytelnym jako dzieło poetyczne, ale jest uwagi godnym pod względem psychologicznym jako konsekwentny i definitywny wyraz wielkiego indywidualizmu a błędnego poglądu estetycznego.

Ogólny kierunek ku studjom zjawisk zewnętrznych nie jest jednemu Flaubert'owi właściwy, ale cechuje całą grupę ludzi, do których on należy. Pochodzi z uprawnionego wstrętu do racjonalistycznego pojmowania człowieka jako oderwanej istoty rozumnej, i z detarministycznego pociągu naszego wieku, iżby życie duchowe jednostki tłumaczyć przez wpływy klimatyczne, etnopsychologiczne i fizjologiczne. W rozmaitych odcieniach odnajduje się ta dążność u najznakomitszych współczesnych ziomków Flaubert'a, u jego nauczyciela i przyjaciela Teofila Gautier, u Rénana, Taine'a, braci Goncourt.

Te umysły przy całej rozmaitości mają to za wspólne i bardzo nowożytne piętno, a oprócz tego jeszcze jednę, niemniej nowożytaą właściwość, a mianowicie tę, że w ich artystycznie wykonanych dziełach zanadto daje się czuć po za niemi leżąca praca, trud, z którym zostały utworzone a niekiedy rodzi się po prostu nieprzyjemne wrażenie przeładowania. Renan, do którego to się najmniej odnosi, opisuje nie rzadko rzeczy stojące zupełnie po za ramami przedmiotu; Gautier jest z tych wielkich artystów jedynym, z którego słowa i obrazy zdają aię swobodnie wytryskać, a nawet on czasem wypuścił ze swej ręki słownik i encyklopedją.

U Flaubert'a encyklopedja powoli ruguje objawy psychiczne. Gautier z latami stawał się coraz mniej poetą a coraz więcej malowniczym opisywaczem. Flaubert stawał się z wiekiem coraz więcej uczonym i zbieraczem.

Rzućmy okiem na całą jego produkcję od pierwszych początków do końca, to obaczymy, jak żywioł psychiczny, który pierwiastkowo wszystko zalewał i użyźwiał pomału odpływa, usuwa się i pozostawia tylko suche, kamienne łożysko historycznych albo przyrodniczych faktów.

W „Madame Bovary" jeszcze wszystko żyje. Opisy są rzadkie i krótkie. Nawet opis Rouen, miejsca urodzenia autora, dokąd Emma jeździ dliżansem dla spotkania z Leonem, jest podany w niewielu wierszach. Prócz tego ożywia go opis zawrotu głowy, jakim bucha na Emmę ów zbiór tysięcy istot, jakby wszyscy ci ludzie obwiali ją wyziewami namiętnęści, jakie ona im przypisywała.

Bezpośredni opis miasta, moment malowniczy jest tu całkowicie zamieniony na psychologję, na wrażenie, jakie robi miasto na główną osobę — a to się u Flaubert'a staje coraz rzadszem.

W „Salammbo" musiało się studjum i dział czysto opisowy z konieczności silniej zaznaczyć. Są wielkie partje w tem dziele, które się czytają jako ustęp z historji starożytnej sztuki wojennej albo jako archeologiczna rozprawa raczej niż jak romans, i dla tego działają nużąco. Ale „Salammbo" obfitowała jeszcze w motywy ogólno ludzkie. Na przykład odczytajmy rozdział, gdzie kapłani postanowili przebłagać Molocha ofiarą pierworodnego z każdego domu, gdzie kilku z nich puka do drzwi Hamilkara, a ten stara się uratować z ich przemocy małego Hannibala.

Koloryt tu przedstawiony przez Flaubert'a jest taki, jaki musiał być w punickiem mieście po rozporządzeniu takiej gromadnej ofiary a na tem tle szczegółowe zdarzenie wznosi się w niezatartych rysach. Hamilkar wpada do pokoju córki, chwyta jedną ręką Hannibala, drugą sznur leżący na podłodze, związuje ręce, nogi chłopca, zapycha resztę sznura do ust jak knebel i chowa go pod łóżkiem. Potem klaszcze w ręce i każe przynieść dziecko niewolnicze, 8 do 9 lat mające, z czarnymi włosami i wystającem czołem.

Przynoszą dziecko biedne, chude i obrzmiałe zarazem, o skórze tak ciemnej jak gałgan obwiązany naokoło lędźwi. Hamilkar wpada w rozpacz; czy jest to możliwem, aby przemienić to dziecko w Hannibala! Ale chwile są drogie, i pomimo wstrętu zaczyna dumny suffet nędzne chłopię myć, wycierać i maścić; nakłada mu ubiór purpurowy, zapina na plecach dyjamentowymi agrafami, a dziecko uśmiecha się, uszczęśliwione paradą, i wyskakuje z radości. Uprowadza ze sobą chłopca. Ale kiedy go na dolnem podwórzu z udaną boleścią oddaje kapłanom Molocha, pokazuje się w górze na trzeciem piątrze domu pomiędzy kolumnami z kości słoniowej blady ubogo ubrany, strasznie wyglądający mężczyzna z wyciągniętymi rękoma. „Moje dziecko!" — woła. „To jest piastun dziecięcia" pospiesznie powiada Hamilkar i jakby chcąc skrócić rozstanie wypędza kapłanów za bramę. Kiedy odeszli, posyła niewolnikowi najlepsze rzeczy z kuchni, mięso, bób i marynaty; starzec, który długo nic nie jadł, rzuca się na to i połyka wśród łez, a kiedy Hamilkar wieczorem powraca do domu, widzi w wielkiej sali, gdzie padało światło księżyca przez otwory w kopule, przesyconego, napół pijanego niewolnika rozciągniętego na marmurowej podłodze, pogrążonego we śnie. Patrząc na niego uczuwa rodzaj litości. Końcem nogi podsuwa mu dywan pod głowę.

Nieprzespany Sen

pani Maciejowej z Leszna.

Obrazek

Wiktora Gomulickiego.

Cóż się to dzieje, najmilszy Jezusieczku! Gdzie spojrzeć, wszędzie srebro i alabaster. Drzewa z alabastru i domy z alabastru, a ulica jak okiem sięgnąć, cukrem wysypana I biało tak, aż ślepi. Świat się cały w mleku wykąpał, czy co?

W powietrzu migają srebrne gwiazdki. Gdy wiatr dmuchnie, gwiazdki wirują i tańczą. Zupełnie jak rój komarów w ciepły, wiosenny wieczór. Czasem w górze załomocze coś i sypnie garścią brylantów. Czasem nad dachami, w tumanach płowego dymu, przepłynie białe widmo: niby śmierć, niby Matka Boska z dzieciątkiem...

Niebo nabrało szklannej przejrzystości i szklannego połysku Zapadło się przytem w głąb, że go prawie nie widać. A słońce roziskrzyło się wspaniale i wygląda z poza kominów, złote jak monstrancja...

Panię Maciejowę dziwi to wszystko niezmiernie. Skuliła się za swym straganikiem i oczy mróży od wielkiego blasku.

Osiemdziesiąt osiem lat żyje na świecie a jeszcze takiego dnia nie widziała. Osobliwy on jakiś, mleczno-brylantowy, pełen blasku i cudowności. Pewnikiem, wyjdzie z niego jakie nieszczęście: albo chleb zdrożeje, albo się kto obwiesi...

Po drugiej stronie leżą dwa sfinksy. Śnieg nakrył im głowy białemi koronami. Sfinksy patrzą na panię Maciejowę, pani Maciejowa patrzy na sfinksy. Ta wymiana spojrzeń, odbywa się codziennie, już od lat piętnastu. Ale sfinksy nigdy jeszcze nie patrzały tak dziwnie jak dzisiaj Coś one wiedzą coś kryją...

Tymczasem targ idzie nie sporo. Ludziska przebiegają koło straganu szybko, z nosami schowanemi w futra i szale Nikt nawet nie zerknie na straganowe przysmaki. A jednak wyzierają one ponętnie z czterech koszyków, ślicznie przystrojonych złotym i czerwonym papierem...

Pani Maciejowej poczyna być zimno. Wyszła dziś z domu bez gorącej strawy. Na rozgrzewkę wypiła tylko dwa kieliszki „zielonej“. Wódka ta smaczna i na łamanie w kościach pomocna, ale dwa kieliszki przy takiem mrozie, to mucha. Szczęściem, pod straganem stoi flaszka, ledwie że rozpoczęta...

Starowina pije ziołówkę i ręce ogrzewa nad garnkiem z węglami, a tymczasem świat poczyna się w jej oczach przeinaczać..

To, co się wydawało śniegiem, okazuje się po prostu masą białego pachnącego kwiecia. A owo dzwonienie sanek? To szczebiot zięb, kosów i pliszek, które uwijają się wśród gęstwiny. I nie żadna ulica biegnie środkiem, jeno strumień. Po tej jego stronie łąka, usiana jak dywan trawą i kwiatami, po tamtej budynki gospodarskie i młyn, umączony a klekoczący.

Największa jednak pociecha z owemi sfinksami wrzekomemi. Nie sfinksy to rzadne, lecz zwyczajne młynarskie kondle. Jak podjedzą to zawsze wylegują się tak na słońcu, jeden obok drugiego. Psiska to pozornie leniwe, ale Boże broń zaczepi którego. Jedna tylko Marynka, córka młynarzowa, może bezkarnie ciągnąć je za uszy i targać im wełnistą sierść na brzuchach.

A toż i ona. Wyszła przed ganek, trzymając w jednej ręce pęk bzu kwitnącego, a w drugiej kawał chleba z miodem. Matka osłoniła ją białą chustką, żeby sobie głowy nie przepaliła na słońcu. Z pod chustki wyglądają kosmyki lnianych włosów, ogromne, szare oczy i tłuste policzki, miodem usmarowane. Dziewczyna zajada chleb i wodzi oczami za pliszką, skaczącą koło strugi. Nagle, krzywi się i poczyna płakać.

— Co ci to, Maryno? — pyta ojciec ukazując się we drzwiach młyna w białej szlafmycy i z fajką porcelanową w ustach.

A dziewczynka, łkając:

— Mucha; proszę tatulka, usiadła mi na chlebie i miód zjada...

Pani Maciejowa przygląda się temu wszystkiemu z coraz większem zajęciem. I czuje nagle dziwny dreszcz, który ją całą przenika i wstrząsa. Najsłodsze rany Chrystusa! Wszakże tą dziewczynką pucułowatą, tą miodem karmioną młynarzówną jest, nie kto inny, tylko ona sama — ona, uboga straganiarka z Leszna...

— Poczemu jabłka? — rozległ się nagle głosik piskliwy.

Straganiarka otwiera oczy i widzi studencika, czerwonego od mrozu i tupiącego nogami dla rozgrzewki.

— Większe po pięć, mniejsze po trzy — odpowiada, nie wiedząc dobrze gdzie jest i co się z nią dzieje.

— Dam po trzy, ale za większe.

— Niech tam!

Bierze od malca pieniądze, wydaje resztę i wtyka mu jeszcze różany karmelek na dokładkę.

A potem zaczyna zrzędzić nosem na Rózię, wnuczkę, która jej dotąd śniadania nie przyniosła...

Oj! nic dobrego z tej dziewczyny nie będzie! Dziś rano zaspała, bo wczoraj wróciła do domu po północku. Mizdrzy się, kryguje, włosy nad czołem przestrzyga, a o starej babce nie pamięta ani kruszyny. Pójdzie szerokim gościńcem jak inne!...

Na świecie coraz jaśniej i coraz zimniej Pani Maciejowa znów sięga po flaszkę i węgle w garnku rozdmuchuje. Mróz kole ją w nogi miljonem ostrych szpilek. Gdy przymknie na chwilę oczy, a potem je otworzy to widzi wielkie szkarłatne plamy, migocące w powietrzu. Przechodnie coraz szybciej wymijają jej straganik i coraz mocniej tupią nogami.

Ah, cóż za niegodziwe dziewczynisko z tej Rózi! Żeby choć garnuszek gorącego barszczu przyniosła!...

Zresztą, mniejsza o nią. Słońce zachodzi za młynem; niedługo będzie kolacja. Wieczór ciepły, prawie upalny. Żaby hukają w sitowiu, derkacz drze się na łące. a woda pod młyńskiemi kołami wre i kipi, jak wrzątek w kotle.

— Co tam, Marynko! wszystko pójdzie dobrze!... Rodzice są mi dziś krzywi, ale i z niemi się poradzi. Jak wrócę oficerem na własnym koniu, z krzyżem na piersiach, to mi się pierwsi pokłonią. Daj Marynko buziaka, wszystko pójdzie dobrze!

Ślicznie mówi ten Stach. A i sam śliczny, jak obrazek. W ułańskim mundurze tak mu do twarzy! Szkoda tylko, że jutro jak świt, rusza z pułkiem na wojaczkę...

Słońce zgasło, młyn stanął, ptaki na łące posnęły. W ogródku słowik spiewa czeremcha pachnie, a kochankowie rozmawiają — pocałunkami.

Śliczny ten Stach. I gdzież Maćkowi przyrównywać się do niego. — Maćkowi co ma twarz od piegów czerwoną i plecy w pałąk wygięte..

Ale Maćka ojciec lubi. Zarządza on całym młynem, a zna się na rzeczy jak nikt inny. Niedawno stary młynarz powiedział przy ludziach, że córki nie odda nikomu tylko Maćkowi..

Dla serca Marynki ciężki to frasunek. Jak uciec przed nielubionym? jak pozbyć się narzuconego?

. . . .

— Patyczków miętowych za cztery!

— Chleba świętojańskiego za dwa!

— Orzechów!

— Pierników!

Gromada malców otacza straganik, tłocząc się i sztukając w stół miedziakami.

— Zaraz, moje dzieci, zaraz — mówi pani Maciejowa, przecierając oczy. — Dostaniecie wszyscy czego wam potrzeba. Tylko nie krzyczcie-ż tak głośno. Maciejowa jeszcze nie ogłuchła.

I obdziela malców przysmakami, zgarniając miedzianą monetę do dużej, skurzanej kieszeni.

Chłopcy odchodzą, krzycząc i przepychając się i podrzeźniając starą straganiarkę

Mróz ani na włosek nie zelżał. Niebo ziemia iskrzą się jak kryształowe. Ile razy otworzą drzwi od szynku naprzeciwko; bucha z niego para wielkiemi białemi kłębami.

Panią Maciejową nogi bolą nie żartem, I zesztywniała jakoś, że poruszyć się nie może

A Rózi jak niema, tak niema..

Trzeba znów sięgnąć do (pocieszycielki).

Tylko, że ta ziołówka, zwykle tak pomocna, dziś wcale nie działa. Ani do żołądka nie idzie, ani do głowy, tylko — w nogi. Zamiast pokrzepić, osłabia zamiast pocieszyć, zasmuca...

Oj tak! smutna to dola siedzieć na mrozie i staremi oczami wypatrywać, zkąd spadnie trojak lub pięciogroszówka!

W młynie weselej...

Weselej, albo i nie. Maciek po ślubie. zrzędniejszy jeszcze i gorszy. Na dom skąpi, a sam hula i pije na potęgę W miasteczku ma kamratów i kochankę. Coraz częściej wyjeżdża na zabawy, a młyn na łasce ludzi zostawia. I niema komu gospodarczyć, bo ojczysko dawno już w ziemi. Dni się wloką ponuro, ciężkie, nudne. Gdyby nie dziecko, toby przyszło chyba spróbować, jak też głęboka woda pod kołami...

A Stach?

Kości jego przesypał żółty, nadnarwiański piasek. Wieczne odpocznienie zmarłemu, a spokój tym, którzy go przeżyli!...

— Słysz, ty stara, nie śpij! Zmarzniesz jeszcze, a n a m będzie bieda'

Tak wykrzykuje przechodzący mimo straganu policjant i taska panią Maciejowę za ramię.

Staruszka otwiera oczy, — siwe wyłzawione oczy, które błyszczą matowo, jakby na nie bielmo śmierci wchodziło — i twierdzi, że jako żywo nie spała...

Potem wlepia wzrok w dwa sfinksy, które po dawnemu leżą nieruchomo, białemi płaszczami śniegu okryte.

— Co to za głupi naród! — mruczy. Wmawiają we mnie, żem spała. Zesłabłam jeno kruszynę i tyle.

Sfinksy ją nudzą, więc podnosi głowę wyżej nad kominy. Ludziska muszą palić w piecach co się zmieści, bo każdy komin zieje kłębami dymu, jak wulkan. Dymy te słoneczną jasnością przyjęte, układają się malowniczo, tworząc niby pałace, niby kościoły...

Pani Maciejowa radaby zapomnieć o bólu, który z nóg przechodzi do krzyża. I dlatego ściga wzrokiem te przezrocze gmachy, rozpływające się na wietrze.. Czasami frontowa ściana gmachów w gruz się wali i wówczas oko sięga do wnętrza. A we wnętrzu pełno filarów, ołtarzów świeczników Podobne to trochę do Fary, a trochę do kościoła na Grzybowie. Tylko większe i bogatsze

Ché znów, bliżej się wpatrzawszy, nie gmachy to, tylko ogrody. Najwyraźniej widać klomby, aleje i szpalery Każdy gatunek drzewa odróżnić można z łatwością. Tu stoją kuliste lipy, obok nich pierzaste akacje, dalej piramidalne kasztany, a w głębi buki, pokręcone wężowo.

Ale wszystko to znika wobec wysmukłych włoskich topoli, któremi wysadzona jest długa a prosta aleja. W końcu tej alei świeci słońce, i długie pasma blasku wśród drzew rozsnuwa. Kurz wzbija się kłębami dosięga wierzchołków topoli, a potem opada. Z tumanu wynurza się oddział jeźdźców. Boże, jacyż śliczni! Nad błyszczącemi ich kaskami szumi las chorągiewek. Na mundurach tyle barw, że aż w oczach ćmi się. Jeden w drugiego, rumiani, z podkręconym wąsem i skrami w źrenicy. A na ich czele najrumiańszy i najśliczniejszy, w oficerskim mundurze z szablą dobytą i krzyżem na piersiach (za waleczność).

Oddział postępuje równo bez brzęku i szczęku. Nagle staje. Ten, który mu przewodzi, zatacza ognistym rymaniem i w miejscu go osadza. (Otóż jestem) — mówi wesoło, muskając wąsik jedwabny. I dodaje z konia zeskakując (daj buziaka Marynko wszystko pójdzie dobrze!)

Słychać śpiew choralny, organy i księdza intonującego (*Veni Creator*). Wszystko drży, płonie i migocze. Uskrzydlone główki wychylają się z obłoków. Obraz w wielkim ołtarzu rozsuwa się, dając widok na jakąś głębię czarowną. Ztoto tam błyszczy i brylanty. I gdzie spojrzeć, różowo, różowo, różowo...

. . . .

— Wstawajcie babciu, śniadanie wam przyniosłam!

Ale babcia śpi twardo, i nie obudzą już jej najgłośniejsze nawet wołania.

Kronika naukowa.

(Elektroliza i barwniki: Motor elektryczny i maszyny do szycia. „Dynamit paille“ Cottego.)

Jak wiadomo prąd ele tryczny przechodząc przez słabo zakwaszoną wodę rozkłada takową na jej części składowe na wodór i tlen; własność ta prądu el.ktrycznego została zużytkewana przez Goppelsrodera do farbiarstwa elektrycznego

Wynalazca wnioskował w ten sposób:

Jeżeli do wody przez którą prąd przepuszczamy, dodamy jakiegoś ciała, które pod wpływem jednego z tych gazów się rozkłada lub wiąże w jakie nowe połączenie chemiczne, to musi to nastąpić i tutaj tem bardziej iż wywiązujace się gazy działają „in statu nascenti". Najwięcej używanym materiałem do wyrabiania farb jest obecnie maź popazowa, z mazi tej otrzymujemy farby „anilinowe“ tak wysoce cenione. Nim jednak maź dostarczy nam żadnych barw przebyć musi długi szereg zmian chemicznych, które jednak właściwie nie są niczem innem jak tylko utlenianiem materji t. j. dorzucaniem do jej składu tlenu lub też redukowaniem tejże t. oddzielaniem z jej składu za pomocą wodoru Otóż tego utleniania i redukowania podjął się prąd elektryczny.

Goppelsroeder rozpuszcza w zakwaszonej wodzie materje organiczne, zmieniające się pod wpływem wywiązanego tlenu lub wodoru w materje barwiące i działa prądem elektrycznym przepuszczając go przez wodę. Wywiązujący się wodór i tlen działają na znajdujace się w wodzie połączenia, częścią redukująco częścią utleniająca. Zdarzyć się więc może, że na jednym biegunie otrzymamy barwę inną, niż na drugim, chcąc więc mieszaniu się barw zapobiedz dzieli Goppelsroeder naczynie na dwie części, wstawiając w środek tegoż porowatą ściankę. Wskutek tego zbierają się barwniki powstałe przez utlenienie w jednej zagrodzie, w drugiej zaś barwniki powstałe przez redukcję. Wynalazca czynił próby z solami anilinowemi, dalej z rozmaitymi aminami i naostatek z fenolem i otrzymał rozmaite barwniki jako to: farby anilinowe czarne, niebieskie, violett Hoffmanna, sztuczną alizarynę i t. d..

Na biegunie zaś dodatnim osadzaja się barwniki anilinowe czarne i niebieskie, podczas gdy alizaryna na piegunie ujemnym Chcąc otrzymać barwnik anilinowy niebieski trzeba do kąpieli, przez którą się prąd przepuszcza, dodać ros-aniliwy w roztworze wodnym z alkoholem matylowym kwasem siarkowym i jodkiem potasu.

Na wystawie elektrycznej w Paryżu w r. 1881 znachodziło sie kilkadziesiąt sztuk materyj jedwabnych farbionych metodą Goppelsroedera budziły one powszechne zajęcie.

* * *

Elektryczność stara się ciągle wtargnąć w dziedzinę pary i pracy rąk ludzkich. Przyznać należy iż jej się to w pewnych razach całkowicie udaje, szczególnie tam gdzie chodzi o otrzymanie siły nie zbyt wielkiej:

Szanowne czytelniczki wiedzą jak męczącem jest szycie na maszynie, otóż p. Wiliam Griscom w Filadelfii postanowił zastąpić pracę nóg elektrycznością i udało mu się to zupełnie.

Elektryczności dostarcza motorowi baterja złożona z sześciu stosów, składających się z środkowej płyty cynkowej i dwóch bocznych płyt węglowych, które mogą być mniej lub więcej w roztwór dwuchromianu potasowego i kwasu siarowego zanurzone. Baterja cała znachodzi się w skrzyneczce drewnianej, która służy zarazem jako krzesło i może być do maszyny do szycia przysuniętą. Z boku skrzynki znajduje się deszczułka, naciśnięcie jej nogą sprawia zanurzenie płyt stosów w roztwór, prąd zaczyna krążyć i porusza motor a z nim i maszynę; z chwilą podjęcia nogi deszczułka powraca w swe pierwotne położenie, płyty się wynurzają, elektryczność przestaje krążyć, motor i maszyna stają.

W ten sposób można każdej chwili z wszelką łatwością puścić maszynę w ruch lub ją też zatrzymać. Oprócz tego od mniejszego lub większego naciśnienia deszczułki zależy mniejsze lub większe zanurzenie płyt, co ostatecznie sprawia powolniejszy lub szybszy ruch maszyny. Sposób więc dostarczania elektryczności jest jak najlepiej obmyślany.

Drugą częścią jest motor elektryczny udzielający maszynie do szycia potrzebnej siły za pośrednictwem pasa, przechodzącego przez koło motoru i maszyny.

Składa się on z dwoch silnych elektromagnesów zasilanych elektrycznością z wmocnionych poprzednio stosów; elektromagnesy sprawiają obrót induktora Siemensa położonego między niemi, oś zas induktora posiada na swem przedłużeniu koło, służące do nawinięcia pasa, który w dalszym swym ciągu przechodzi przez koło maszyny do szycia, to już w górze nadmieniliśmy. Cały ten motor nie waży więcej nad 2 klg. i daje się z łatwością umocować za pomocą odpowiednich śrub do stolika maszyny. Mimo swych małych rozmiarów, bo ma zaledwie cztery cale długości a $2^1/_4$ szerokości, wykonuje ten motor zadziwiająco wielką pracę, igła maszyny porusza się pod jego wpływem z szybkością 700 uderzeń na minutę. Dalszą zaletą jego jest, iż odznacza się wielką prostotą w swej budowie; jest nadzwyczaj pojedynczy a ztąd trwały i tani. Posiada słowem wszystko co mu może zapewnić jak najlepsze przyjęcie w sferach interesowanych.

* * *

Po prochu nastąpiła bawełna strzelnicza, po bawełnie strzelniczej nitrogliceryna a po niej mnożą się coraz więcej, coraz silniejsze środki eksplodujące. Jednym z takich materjałów wybuchowych nowszych czasów jest: nitrocellulosa, której rozliczne, odmiany posiadamy. Między innemi znachodzi się także tak zwany; „Dynamit paille“ czyli dynamit ze słomy wynalazku Cottego.

Słoma posiadająca krzemionkę w swym składzie pozostawia się przez 15 do 18. godzin w roztworze potażu gryżącego i sody, przezco wszystkie części rozpuszczalne odłączone być mogą w wodzie wrzącej.

W ten sposób przyrządzoną słomę miele się w młynach papierowych, zarabia na masę i formuje arkusze o znacznej grubości, 1 kwm. podobnego papieru waży około 300 gr.

Arkusze pocięte w pasy szerokości 2 do 3 mm. zanurza się w mieszaninie 3 części kwasu azotowego dymiącego z 5 objętościami kwasu siarkowego. W mieszaninie tej pozostawia się 3—4 godzin wymywa tak długo w czystej wodzie dopóki nie przestanie dawać kwaśnej reakcji. W ten sposób otrzymuje się nitrocellulozę posiadającą nadzwyczaj wielką siłę wybuchową, przyczem użycie jej jest nader łatwe Ostatecznie wkłada się ją w roztwór saletry i dodaje proszku węgla. Stosunek w jakim te ostatnie odczynniki użyte bywają jest różny i zależy od celów, w jakich się nitrocellulosy używa.

Cotte miesza jeszcze otrzymaną ze słomy nitrocellulosę z 2—3% potażu i sody, tłucze ją na proch i dodaje 50% nitrogliceryny.

„Dynamit paille“ Cottego nie marznie pozostaje zawsze plastyczny i eksploduje nawet przy dosyć niskiej temperaturze.

Kaz. Spoliński.

Przegląd literacki.

Zeitschrift für Geschichte und Landeskunde der Provinz Posen herausgeben von Dr. Christian Meyer königl. Staatsarchivar der Provinz Posen. Erster Band. Erster Heft Posen 1882 J. s. 380.

Minęły już czasy kiedy niemieccy uczeni słynęli z swej bestronności i gruntownej wiedzy — dziś po zwycięskiej kampanii francuskiej szowinizm narodowy owładnął armią niemieckich piór. Od najmniejszego pisemka do najpoważniejszych wydawnictw wszystko owiane jednym duchem, iście krzyżacką pychą i pogardą ku wszystkiemu co nie-niemieckie, co prócz prawa niema za sobą dla ich poparcia brutalnej siły miliona iglicówek. Kierunek ten najjaskrawiej przebija się w niemieckich pismach traktujących o obecnych zdarzeniach lub o przeszłości Polski z równą nienawiścią i stronniczoscią, a niestety dzieło, któregośmy poważny tytuł wyżej przytoczyli z tej ogólnej reguły wcale nie jest wyjątkiem. Prawdziwe lub nie — mniejsza o to—zesławiono, by tylko dzieje naszc w niekorzystnem przedstawić świetle, a Poznańskie jako niemiecki kraj. Sam wydawca Dr. Christian Meyer według którego Poznań „to naj tarsze i najznakomitsze niemieckie założenie“ (str. 124) daje nam dwa artykuły „Niemcy w poznańskiej prowincji przeciw polskiemu powstaniu 1848“ i „Fryderyk Wielki i Pobrzeże nadnoteckie“. W pierwszej rozprawie rzecz naturalna odmalowane są żywo wszystkie „okrucieństwa“ jakich się dopuściły „polskie bandy powstańcze“ na spokojnych obywatelach niemieckich i żydach“ Szczególnie żydzi, pod pozorem, jakoby na powstańców z okien strzelać mieli, zostali ciężko pobici, skrzywdzeni, a mieszkania ich splądrowane „(str. 216) lub, jak na str. 222 „Teraz nastąpiło plądrowanie domów, które do niemców i żydów należały, czego nie zrabowano zniszczono. Zburzono także synagogę“. Tak to pod piórem Dr. Meyera wyrośli nawet cisi i trwożliwi zazwyczaj żydzi na bohaterów i męczenników niemiecko-narodowej sprawy. W drugiej swej pracy roztacza autor przed oczyma czytelnika „dokładny obraz błogiej działalności Fryderyka. W około podniesienia przez polskie gospodarstwo głęboko upadłego kraju pod względem gospodarczym „(str. 145) ma się rozumieć za pomocą germanizacji. Zachwycają wydawcę słowa Frydryka że „najpewniejszym środkiem, by słowiańscy ludzie nabrali lepszych wyobrażeń i obyczajów zmieszać ich z czasem z niemcami“ powtarza je aż dwa razy jakby dla lepszego w bicia ich w pamięć czytelnika. Ponieważ zdaniem Fryderyka W. „polscy ludzie są za gnuśni i leniwi i niemają żadnej ochoty do pracy“ „należy przeto na to baczyć by sprowadzać ludzi z Meklemburgii i Łużyc i osiedlać ich tutaj“ w przeciągu też lat jedynastu (1775—86) osiedlono 2,200 rodzin czyli około 11.000 osób. Słusznie mówi autor, że „w ogólności dzieło kolonizacji z n a k o m i c i e się królowi powiedło“, bo dziś okolice nad Notecią należą do najbardziej zgermanizowanych części dawnej Rzeczyposp. Cały t. zw. Netzdistrikt na przestrzeni 222 □ mil mieścił w sobie 1861 r. 351,800 Niemców, a zaledwie 158,000 czyli 30 % Polaków (patrz :

Szymański Statystyka ludn. polskiej pod zaborem pruskim str. 14) Szkoda że autor „w dokładnym tym obrazie“ zapomniał o tysiącach Polaków przesiedlonych gwałtem z nad Noteci na Pomorze, o polskiej młodzieży branej przemocą do wojska w niemieckie strony i innych tym podobnych dobrodziejstwach, na których nie poznała się tylko „gnusność i głupota prostego (sc. polskiego) człowieka (str. 230). Bardzo ciekawie opowiada Dr. Meyer o bezprawnem wbrew rozbiorowemu traktatowi z r. 1772 (gdybyśmy nawet i ten za prawny wziąść chcieli) wysunięciu granicy o 2 mile po za Noteć w głąb ziem Rzeczypospolitej. „Dopiero jesienią — mówi on 1772 roku przyszło do rozbiorowego traktatu między Rosja, Austrją a Prusami. Już przedtem rozkazał Frydryk większemu oddziałowi wojska posunąć się po Notei, tak daleko miał sobie kraj przywłaszczyć. Wyciągnął swą rękę jeszcze dalej i wziął drugi brzeg Noteci. Pełnomocnik jego von Brenkenhof dał się przyjaciółce swojej hr. Skorzewskeij właścicielce Łabiszyna, która jako gorąca aliantka Prus słusznie obawiać się mogła o swe dobra w Polsce, nakłonić do wysunięcia nowej granicy pruskiej po za Łabiszyn, tak, że nie Rynarzewo, jak postanowiono, było najdalej wysuniętem punktem granicznym, ale objęto jeszcze granicą dobra Łuboczyńskie i Boroznickie, na których przeważnie (?) żyli niemcy. Tak więc Szulice zostały ostateczną granicą. Frydryk II. był z tego zadowolony i zapragnął wkrótce jeszcze więcej, ponieważ nie spotkał się z żadnym oporem“ (str. 158) Co za litość dla jakiejś Skórzewskiej — co za bohaterstwo zabierać cudzą własność, skoro właściciel sił niema ich bronić! Rzeczywiście czyny godne, by poświęcić im osebne studjum!

Dzielnego współpracownika znalazł Dr. Meyer w swym wydawnictwie w Dr. Max. Bärze autorze czterech rozpraw „Dzieje luterskiej gminy w Poznaniu“ „Jan Łaski reformator Polski“ „Bambrzy koło Poznania“ w końcu „Relacja naocznego świadka bitwy pod Byczyną“. Skąd autor przyszedł do przekonania, że podczas reformacji „w miastach Wielkopolski i Prus niemiecki element był przeważającym i że zachowało się w nich żywe współczucie wypadków w dawnej (niemieckiej) ojczyźnie“ (str. 66) co pomyślnie wpłynąć miało na rozszerzenie reformacji, trudno odgadnąć— jeżeliby bowiem przyszło sądzić o narodowości luteranów w Poznaniu, to z opisu 15stu ich reprezentantów przy zawarciu kupna pałacu po Stanisławie Górze 1593 r. dla ewangielickiej gminy zawyrokować byśmy musieli na korzyść polskiego żywiołu. Na 12 nazwisk polskich znachodzimy zaledwie trzy niemieckie. Zdaje się jednak, że dla Dr. Bära nie jest to żadnym argumentem. Wśród nazwisk niemieckich kolonistów przybyłych z początkiem zeszłego wieku w okolice Poznania jak nazwa ich wskazuje „Bambrzy“ z Bambergu znachodzi dwa nazwiska polskie: Andrzeja Koszyckiego i Jakóba Kosmatego. Ponieważ w kontrakcie zawartym między Bambrami, a poznańską gminą po wyliczeniu ich nazwisk dodano „którzy to wszyscy są niemcami i katolickiej religji“ autor zamiast przypuścić że do Bambrów przyłączyło się kilku Kaszubów lub innych polaków i że gmina mając na uwadze całość nie uzględniła narodowości dwóch — zamiast tego wszystkiego, autor stara się udowodnić, że Koszycki był rodowitym niemcem. Wzmianka w jednym z późniejszych aktów o tymże Koszyckim „nec non Koszyckim incolam Ratajensem linguae polonicae optime peritum“ zdaniem dr. Bära tem silniej przemawia za niemieckością Koszyckiego. Na pytanie skąd pochodził odpowiada zgodnie z tradycją (n, b. mówiący o ogóle Bambrów) z Witembergii — szkoda, że nie dodał „wiadomo bowiem powszechnie, że tam wszyscy wieśniacy mimo niemieckie pochodzenie noszą polskie imiona i nazwiska“ a sprawa byłaby jasną jak słoneczny promień i nie potrzebowałaby długich dowodów.

O dalszym ciągu pracy „o Bambrach“ mówić nie będziemy. Nie jest to już bowiem naukowa rozprawa, ale zwykle polityczny artykuł wzywający rząd do zgermanizowania oddawna spolonizowanych Bambrów za pomocą szkoły i kościoła na tej podstawie, że niegdyś byli niemcami. Ciekawiśmy tylko coby dr. Bär powiedział, gdyby Rosja po zagarnięciu Prus wschodnich dlatego. iż znajduje się tam garstka Filiponów rosyjskiego pochodzenia, chciała całe Prussy wschodnie zrusyfikować. Byłoby to zapewnie gwałtem, na które tylko „*niedźwiedź*“ północny zdobyć się może.

Nie starczyłoby nam miejsca, gdybyśmy o każdej pracy z osobna pomówić chcieli. Z tego cośmy już przytoczyli — czytelnik łatwo sąd sobie o całym wydawnictwie wyrobi. Pod względem naukowym nie przynosi ono prawie żadnej korzyści, a jeżeli dr. Mayer postawił sobie za zadanie przekonać rząd pruski o zbawienności germanizacji „niemieckiej prowincji poznańskiej“ to nie potrzebował do tego ubierać się aż w poważną togę uczonego.

K. W. Żółkiewski.

Przegląd teatralny.

Obiegłszy sceny: krakowską i warszawską, przedstawił się nakoniec lwowskiej publiczności „Wujaszek Alfonsa“ Stanisława Dobrzańskiego — i utrzymał ją przez pół godziny w nieustającym śmiechu. Jest to jednoaktowa farsa zbudowana z humorem i ogromną znajomością efektów scenicznych. I to jest główną jej zaletą; bo w żadnym razie nie zgodzimy się z owymi „znakomitymi znawcami sztuki“, którzy utwór ten, pełen wprawdzie humoru, ale niewytrzymujący poważniejszej krytyki, nazwali „genialną farsą“. Wyrazami: genialny“ „znakomity“ „świetny“ szafować nie trudno, ciekawym jednak, co pozostanie dla utworów zasługujących rzeczywiście na te nazwy. Wybuchy śmiechu wśród widzów. nie są jeszcze dowodem wartości sztuki.

„Wujaszek Alfonsa“ ma przedewszystkiem tę wadę, że pod koniec akcja i humor tak raptownie słabną, iż w chwili gdy zasłona zapada, widz już miał czas przyjść do refleksji, że pół godziny blisko śmiał się z nienaturalnie naciągniętych sytuacji.

Farsę tę odegrano z humorem i życiem, p. Fiszerowi zaś należy się odznaczenie.

Wspomnieliśmy ostatnim razem, że zobaczymy p. Zboińskiego w roli Radziwiłła, w roli, o której recenzje dzienników petersburgskich pisały hymny pochwalne. Niestety, nie możemy unisono zapiać z nadnewskimi krytykami, bo p. Zboiński nie przedstawił nam takiego Radziwiłła, magnata, figlarza i facecjonisty, jak nam go historja i tradycja wyobrażać sobie pozwala. Wyjąwszy charakteryzacji, która była bardzo dobrą, p. Zboiński grał rolę tę bez humoru. Wszystkie owe facecyjki improwizowane przez Radziwiłła, wyrecytował p. Zboiński nie budząc żadnego interesu w słuchającym. Historyczne „panie kochanku“ nie wyrywało się mimowoli jako przysłowie „przeklęte“, którego w rozmowie z Syruciem chciał nawet uniknąć Radziwiłł, a nie mógł; p. Zboiński wymawiał je, jako dalszą część zdania rozpoczętego. Pominąć nie możemy i tego, że nawet taki magnat, jak Radziwiłł, nie wybierał się na polowanie w pysznym aksamitnym kontuszu, mógł zatem p. Zboiński — a wiemy że miał możność — skromniejszy wziąść kostjum do aktu pierwszego.

P. Lubicz widocznie nie ocknął się jeszcze, że występuje teraz przed inną publicznością, która o przyzwoitości dobrze wychowanego człowieka ma cokolwiek delikatniejsze pojęcia. Gra jego w „Chichotkach“ mogłaby się niezaprzeczenie podobać „Kańczukowom“ i t. p. — ale w naszej

publiczności może tylko obudzić co najmniej niesmak, jeśli nie oburzenie; gdyż taka wymowna gestykulacja jest lekceważeniem i obrażaniem sztuki i publiczności. Mamy nadzieję, że p. Lubicz będzie się starał złagodzić w przyszłości zdziczałe nawyczki przywiezione z dalekiej północy.

W „Boccaccio“ debiutował młody baryton p. Fontana. Możemy powinszować Dyrekcji tego nabytku. P. Fontana posiada obszerną skalę głosu silnego i przyjemnego, który potrzebuje wprawdzie jeszcze szkoły, ale też zasługuje na tę pracę. O grze możemy tyle powiedzieć, że jakkolwiek zdaje się, że p. Fontana nie ma wyobrażenia o tem co to jest „trema“ i zupełnie obojętnie spogląda na publiczność, powinien starać się o swobodę w ruchach, a osobliwie nie trzymać ciągle niewolniczo rąk przy korpusie.

Nakoniec musimy zrobić jeszcze tę uwagę, że panuje w naszym teatrze naganny zwyczaj, iż gdy publiczność po efektowniejszej scenie obdarzy grającego artystę oklaskami, ten powraca z za kulis i kłania się uśmiechnięty publiczności, nie zważając, że jeszcze dalsza odgrywa się scena. To powracanie wśród aktu psuje wartość następnych scen i wprowadza w ambaras grających. W większych zagranicznych teatrach nie wolno pod karą powracać aktorowi z za kulis wśród aktu na oklaski publiczności; co innego w operetce, jeżeli publiczność domaga się powtórzenia piękniejszego numeru. Na podziękowanie publiczności za uznanie wyrażone oklaskami jest najodpowiedniejszy czas po zapadnięciu zasłony.

Tumult.

Przegląd muzyczny. *)

Kiedy Beethoven grał w r. 1795 u swego protektora i wielbiciela ks. Lichnowskiego 3 pierwsze tria swojej kompozycji, radził mu stary Haydn, którego B. był uczniem, aby trzeciego (c-moll) nie publikował, a że radził mu szczerze, z najgłębszego przekonania, o tem dziś n i k t nie wątpi, gdyż poczciwemu, dobrodusznemu Haydnowi nie mogło się ono podobać, nie mógł się niem zachwycić, musiałby bowiem zerwać z całą swą przeszłością sprzeniewierzyć się tradycji..... mając lat 63! Nie tak jednak zapatrywał się na to młody Beethoven, a ostra choć z przekonania płynąca krytyka zraziła go wielce, utwierdziła w błędnem mniemaniu, że pochodzi z zazdrości, i przyczyniła się do zerwania i tak już nieco naprężonych stosunków między uczniem a nauczycielem.

Beethoven Trio Cmoll (op. 1 N. 3) odegrali pp. Dyrektor Mikuli, Wolfsthal i Wollmann. Jedna z najpiękniejszych kompozycyj nieśmiertelnego mistrza, oto pierwszy Nr. którym rozpoczęto 4y wieczór Towarzystwa muzycznego we środę d. 11. b. m. a któryby sam wystarczył do zapełnienia sali. P. dyr. Mikuli rzadko się daje słyszeć, grywa zwykle raz w roku na jednym z wspomnianych wieczorów i nie obejdzie się wówczas nigdy bez tradycyjnych bukietów, wieńców i t. p. owacyj. Tak też i w środę wyszedłszy na estrudę zastał w miejsce fortepianu jeden wielki bukiet, cały bowiem instrument wraz z klawiaturą pokryty został kwiatami, których dostarczyły uczennice, wielbicielki i wielbiciele jego. Trio Cmoll! Któż go nie zna? Kto go nie słyszał choć parę razy w życiu! Nie było może nikogo w sali, komuby było obce, jesteśmy jednak pewni, że w takiej interpretacji mało osób je słyszało! P. Mikuli posiada wielką technikę, nie jest ona jednak u niego alfą i omegą sztuki, jest tylko środkiem, zawsze podporządkowanym, z całą służbistością oddanym na usługi ducha kierowanego myślą kompozytora. Zaraz w „Allegro con brio“ z pierwszej frazy poznać było mistrza a cóż dopiero w andante, w warjacjach! W 3ej warjacji passaże, to istne perełki, 5ą zaś grał w oktawach, których w oryginale nie ma, ale grał ją tak, że gdyby Beethoven żył i słyszał te oktawy, byłby je chyba w manuskrypcie dopisał! Menuet (Q u a s i Allegro) w którym gamy i glissanda odegrane były z prawdziwym gustem, z prawdziwie artystycznem „con amore“ rozentujazmował publiczność. Całe trio zrozumiane i wypracowane aż do najdrobniejszych szczegółów, wykonane było znakomicie, o tem mówić nie ma potrzeby, że zaś pod względem t e c h n i c z n y m pod względem p r e c y z j i i d o k ł a d n o ś c i w mechanizmie nie pozostawiało oddanie go nic do życzenia, to sam przyzna i najzawziętszy antagonista p. Mikulego! A p o d n o s i m y to, bo słyszeliśmy niedawno z kilku stron głosy, że p. Mikuli nie powinien już występować publicznie (?) Jeżeli twierdzący to, byli na ostatnim wieczorze, zapewne zmienili już swoje zdanie. Pod względem tedy precyzji w wykonaniu nie można było nic zarzucić a gdyby i były „kiksy“ (powiadamy „*gdyby*“) które zresztą i Rubinsteinom i Bülowom się zdarzają, to czy jedna taka fraza, jedno świetne rubato, jedno takie parlando, jakie zagrał p. Mikuli ot n. p. w końcowym ustępie Presta“ (finale) nie kazałyby o wszystkich zapomnieć ?...

Znakomicie sekundowali fortepianowi pp. Wolfsthal i Wollmann, to też po każdej części tria powstawała burza oklasków.

O ryczywole zamilczeć wolę, choć „Narodówka“ właśnie tylko spiew podniosła (!!)

Następnie odspiewała pani J. kilka ładnych piosnek.

Prof. Janouszek odegrał na waltorni z towarzyszeniem kwintetu (!) „Pożegnanie“ Lübecka. Grał ładnie, kompozycja jednak wcale nam się nie podobała. Szkoda tego aparatu do takiego utworu, — wolelibyśmy byli usłyszeć coś innego.

Zakończeniem wieczoru, zakończeniem odpowiedniem do początku, był 6ty (Cmoll) kwintet smyczkowy Mozarta. Rzecz śliczna, prześliczna, odgrana była znakomicie. Pan Wolfsthal zwyczajem swoim grał cudownie. Pierwsze Adagio (con sordini) oddeklamował tak poetycznie, z takiem przejęciem się i ciepłem przytem cieniując tak subtelnie, że porwał i zachwycił wszystkich; oklaskom też nie było końca.

Szkoda, wielka szkoda, że nie posiada instrumentu któryby jego był godnym. Wszyscy współdziałający w kwintecie (zwykły kwartet Tow. muz. i p. Sch.) jako 2ga altówka, trzymali się doskonale na wysokości zadania, jakiego pierwsze skrzypce w rękach takich jak p. Wolfsthala, od nich wymagały.

---

*) Dotychczasowy nasz sprawozdawca muzyczny L. przestał pisać i stąd brak tej rubryki w kilku poprzednich NN., chcąc bowiem by sprawozdania nasze pisał ktoś kompetentny musieliśmy szukać innego referenta.

Redakcja.

ZIANRKA.

W ubiegłą sobotę uczciła młodzież akademicka pamięć 34. rocznicy zgonu Słowackiego wieczorkiem muzykalno-deklamacyjnym, który w wielkiej sali ratuszowej zgromadził liczne i doborowe audytorjum. Do wzbogacenia programu przyczyniła się ceniona i zawsze chętna pjanistka panna Konopacka, młody tenor p. Bandrowski i uznany już powszechnie skrzypek p. Tyberg. Ożywiły znacznie wieczorek młodzieży produkcje lwowskiego chóru męskiego który w szerokich kołach towarzystwa stołecznego zdobył sobie już dawno stanowisko — s i t v e n i a v e r b o — powagi wokalnej. Koncert zagaił jeden z akademików krótkiem przemówieniem i.. nic nie powiedział. Wygłosił wprawdzie cichym panieńskim

szeptem kilka ogólników o poezji nieśmiertelnego Juljusza, ale z ducha tej poezji nie wysnuł żadnego programu dla obecnyj chwili. Młodzież, deklamująca pod biustem Słowackiego „Grób Agamemnona", powinna być mniej dyplomatyczną, a więcej otwartą mniej anemiczną, a więcej krewką zwłaszcza że na wieczorku sobotnim mnóstwo dziewic pragnęło usłyszeć wyznanie wiary tej generacji, w której sercu i ręku spoczywa przyszłość...

* * *

Tak jesteśmy przyzwyczajeni do ostatnich Mohikanów w naszej literaturze i nauce, że nie robią na nas żadnego wrażenia. Oto mamy zanotować nowy objaw. W Przewodniku literackiem (z kwietnia b. r. znajdujemy rozprawę dra (sic!) Maksymiljana Kawczyńskiego p. t. Metoda Taina (sic!) Potrzeba wiedzieć światu, że dr. Maksymiljan Kawczyński porwał się z miejsca i tak natarczywie uderzył w Tainowską „metodę", że ją zabił: niczem już zwycięstwo Dawida nad Goljatem. Praca naszego Dawidka upleciona z cieniutkich nitek. Autor opiera się na przedmowie „Historji literatury angielskiej" i w całej 25. stronicowej rozprawie usiłuje dowieść czytelnikom, że nic więcej z Taine'a nie czytał (por. streszczenie dzieła De l'intelligence) Długo i szeroko wykazuje błędy stylistyczne tej przedmowy, koryguje mylnie podane przykłady, ale ile razy uda mu się w dorywczych przykładach wykazać błąd, tyle razy sądzi, że zbił już i zasadę, której ów przykład miał być wyjaśnieniem. Rzeczona przedmowa wcale zresztą nie jest najwyższym wyrazem teorji Tain'a. Znajdzie ją dr. Kawczyński, jeśli już po skrytykowaniu zechce zasięgnąć o niej bliższych szczegółów, w dziele „O inteligencji" (część II) i w Filozofji sztuki.

Obrony Taine w obec wystąpienia dra Kawczyńskiego wcale nie potrzebuje. Według niego psychologiczna teorja Taine'a tylko w niektórych wypadkach jest słuszna, t. j. dzieło tylko „niekiedy" (str. 314) bywa płodem umysłu poety, zwykle zaś zapewne przynosi mu je .. bocian. Taine nic nowego literaturze nie dał, bo jest ślepym naśladowcą Monteskjusza, Buckle'a, Darwina i jakiegoś hrabiego C o n t e, kilkakrotnie wymieniony. Chcielibyśmy prosić dra Kawczyńskiego o podanie nam „metody" literackiej tych krytyków, przyrodników, a zwłaszcza owego hrabiego, znanej mu może z ukrytych rękopiśmiennych źródeł. Dla całego świata dotychczas Taine stanowi epokę w historji literatury, pomimo wszystkich błędów, z których jego teorje oczyścił ostatni lat dziesiątek: błędów, o których krytyk nasz nie wie i wcale nawet o nie nie potrąca.

Radzimy mu tylko przeczytać choćby najmniejszy podręcznik psychologji, aby drugim razem uniknął takich absurdów, jakimi są ustępy o systematyczności myśli ludzkiej (str. 303. 304.) albo o determinizmie woli (str. 308), wywodzonym od Monteskjusza i Darwina (!!! a potępianym na str. 309, kiedy na str. 299. był on prawdą dość pospolitą i starą", o której „k a ż d y c h ł o p wie".

Taką logiką obala wszystko — a stawia w to miejsce „psychologiczne prawa, właściwe jedynie literackiej twórczości" i „wewnętrzną możność rozwoju form literackich". Można będzie w państwie Laputy ogłosić te wynalazki i patent na nie otrzymać.

Dziwimy się, że Przewodnik wydrukował tę ramotę, kompromitującą zarówno to pismo, jak i stan wiedzy naszych ludzi... nauki.

* * *

Nad poznańskim teatrem zawisło widocznie jakieś fatum, bo od samego początku doznaje przykrych ciosów. Wybudowany za mozolnie pozbierane składki zbierane w Poznańskiem, Galicji i Królestwie polskiem, gdyż cała Polska spieszyła z datkami, aby utrzymać tę jedyną prawie świątynię języka polskiego pośród szerzącego się spiesznym krokiem germanizmu, nie może teraz znaleść kierownika, któryby umiejętnie i sumiennie odpowiadał temu ważnemu zadaniu. W ostatnich czasach dyrektorzy zmieniają się ciągle, opuszczając scenę i towarzystwo w bardzo krytycznem położeniu. Aby zaradzić jakoś temu złemu, a ewentualnie uchronić scenę polską w Poznaniu od zupełnego upadku, odbyło się walne zebranie spółki akcyjnej teatru polskiego, na którem postanowiono, że odtąd obejmie spółka prowadzenie teatru na swoją rękę, kierownictwo zaś artystyczne powierzone zostanie weteranowi sceny p. Józefowi Rychterowi. Faktem jest, że scena polska w Poznaniu nie utrzyma się bez subwencji; wprawdzie komitet gorąco krząta się około zebrania potrzebnego funduszu i składki płyną, ale fundusz ten wynosi dopiero 55 00 marek, a to jeszcze bardzo mało, aby odsetki od kapitału potrzebnego mogły wystarczyć na najskromniejszą subwencję. Mamy nadzieję że i nasze społeczeństwo choćby drobnemi datkami przyczyni się i pomoże naszym braciom stękającym pod pikelhaubą.

* * *

Od dni kilku wystawione są w sali hotelu Żorża dwa obrazy Hansa Makarta. Artysta wiedeński jest we wszystkich swych kompozycjach w ogóle malarzem dekoracyjnym, a czemże by innym miał być ten gdzie dekoracyjność wyłącznie była jego celem? „Bogactwa ziemi" i „Bogactwa morza" przygotowane są widocznie do ozdobienia jakiegoś plafondu pałacowej sali i dlatego obliczone są tylko na efekt chwilowy. W obu obrazach jest dużo ruchu i życia, a przedewszystkiem wdzięku, ale treścią nie odznacza się żaden. Bogactwa ziemi przedstawia na obrazie kilka jarzyn, owoców i kóz kilka, bogactwa morza zamykają się w kilku koralach i muszlach Ale nie to stanowi główną rzecz u Makarta. W obu obrazach płody te natury otoczyły kobiety o pięknych, miękkich kształtach i cały rój geniuszków pełnych życia i powabu, bezmyślnych, i wesołych bo szczęśliwych. Te stanowią główną podstawę obrazu, one ocalają całość. Wyborny układ tych figur w grupy siła i harmonia kolorów tylu zlewających się zgodnie w jedno oto najważniejsze zalety malowideł Makartowskich. Obok tych rozgłośnych dzieł wiedeńskiego mistrza wystawiono dwa skromne portrety lwowskiego malarza p. Andrzeja Grabowskiego. Portrety te niepotrzebują wstydzić się swego sąsiedztwa. Owszem stanowią one jawny kontrast pomiędzy brawurą a prawdziwą sztuką. Równie świetne w charakterystyce jak w wykończeniu szczegółów oba te płótna świadczą nietylko o wielkiem talencie naszego portrecisty ale i o sumiennem, a poważnym traktowaniu sztuki.

ZAPISKI

Literatura.

* „W s z e c h ś w i a t" tygodnik popularno-naukowy przetrwał już rok cały, bilans jego nie wykazuje dostatecznego poparcia publiczności, cyfra jednak 80 - 900 prenumeratorów nie jest znowu tak zniechęcająca, iżby od dalszego wydawania odwodzić miała. „Wszechświat" będzie też i nadal wychodzić. Życzymy mu więc jak najwyższego powodzenia, wypełnia on bowiem lukę powstałą przez ustanie wydawnictwa: „Przyroda i przemysł". — Najnowszy jego numer zawiera: Przemiany owadów. O zrzuceniu skóry czyli wylince u owadów, napisał dr. J. Sznabl.— Wpływ światła na ruch i wrażliwość na barwy u istot najniższej organizacyi, przez J. N.— Zawieje śnieżne, przez E P, (dokończenie). —Sprawozdanie. — Kronika naukowa. — Ogłoszenia.

* S w a t y w a r m i ń s k i e sztuka teatralna w trzech aktach przez Jana Liszewskiego. Pod powyż-

szym tytułem ukazała się książeczka, której autor zdradza wielką znajomość ludu polskiego na Warmii, i dar przedstawienia jego zwyczajów, sposobu wyrażania myśli i przekonań. Pożądaną by wielce rzeczą było, by autor nie poprzestał pracy na niwie ludowego pisarstwa — a spodziewamy się, że stanie się w ten sposób pożytecznym sprawie narodowej szczególnie wśród opuszczonej ludności polskiej Warmii.

Sztuki piękne.

* Wielka wystawa sztuki Japońskiej ma być jeszcze w kwietniu otwartą w Paryżu. Organizowaniem wystawy zajmuje się pan Ludwik Gonse, redaktor dziennika „Gazette des Beaux Artes". Wystawa ta będzie nader interesującą, poraz pierwszy bowiem, można będzie widzieć zgromadzone w jednym miejscu to, co sztuka japońska wydała najrzadszego i najciekawszego w przeszłych wiekach Będą tam okazy autentyczne, nie mające nic wspólnego z produktami podejrzanego gustu, któremi Europa jest zarzucona. Przedmioty wielkiej wartości umyślnie nadesłane zostały z Japonii, z których można naocznie się przekonać, że owa wyrafinowana cywilizacja kraju tak długo zamkniętego dla cudzoziemców, obejmuje perjod całych dziesięciu wieków, i podczas kiedy w Europie w średnich wiekach za czasów Karola Wielkiego iluminatorowie ozdabiali manuskrypta, artyści Kioto pokrywali cudnemi malowidłami ściany pałaców Mikadów.

* „Oesterreichisches Museum" zamyśla równie jak corocznie zamówić kilka obrazów u malarzy krajowych, w r. b, jest mowa o 4 portretach, a pomiędzy tymi ma się znaleźć także portret dr. Fr Smolki, przeznaczony do ministerstwa oświaty.

* Dla podniesienia malarstwa al fresco uczynił p. Kalkhorst z Meklenburga, miłośnik i opiekun sztuki, krok godny naśladowania. Przeznaczył on znaczny kapitał na ten cel, ażeby co dwa lata wynagradzano ozdobnie jednego budynku tym rodzajem malowidła. Wybór budynku i osoby artysty należy do berlińskiej akademii sztuk pięknych. Przed czterma laty powierzono młodemu malarzowi Prellowi z Lipska ozdobienie ścian w sali zabudowania berlińskiego towarzystwa architektów, którą to pracę obecnie ukończył. Przeznaczenie budynku dało artyście wątek do przedstawienia historji sztuk, a przedewszystkiem budownictwa pięknego. Do ozdobienia były trzy ściany, jedna przeciwległa ścianie okiennej i dwie do niej przyległe. Jedną z dwóch ostatnich wybrał artysta na przedstawienie sztuki starożytnej, drugą średniowieczną przeciwległą zaś oknom nowożytnej.

* Nakładem Bruckmana w Monachium wychodzić zacznie „Allgemeines historisches Porträtwerk", które zamknie w sobie 600 portretów osobistości historycznych od r. 1300. W pierszej serji pomieszczone zostaną potrety papieża Juljusza II. według Rafaela Gustawa Adolfa Van Dycka, Marji Stuart Zucherego, Ludwika XIV. Guneslnia i Marji Teresy Mytensa.

* Wystawa międzynarodowa w Monachium otwarta zostanie już w lipcu. Nieporozumienia z Berlinem zostały załagodzone, Francuzi przyrzekli bogato obesłać wystawę.

* Pod tytułem „Die Maler der Gegenwart" zaczęło wychodziś nakładem Fr. Bondy w Wiedniu dzieło, które według prospektu ma pomieścić najlepsze obrazy współczesne. Pierwszy zeszyt zawiera album Defreggera, dalsze zawierać mają obrazy Muzykalnego, Knausa, Vautier'a, Kaulbacha, Grütznera. Obok dodane biografie i portrety artystów.

MISCELANEA.

Bibliografia czasopism.

Od czasu rozwoju literatury perjodycznej, olbrzymi dorobek piśmienniczy, zawarty w dziennikarstwie, nie mógł pozostać obcym dla śledzących postęp ducha. To też oddawna pojawili się zbieracze, skrzętni kontrolerowie wszystkiego, co się na niwie myśli ukaże.

W Anglii 1848 r. wystąpił William Poole, obecnie kustosz biblioteki w Chicago, z inicyatywą utworzenia indeksu artykułów dziennikarskich. Praca jego, przygotowana jako próba, podana była do druku w nowym Yorku p. t. „Index to subjects treated in the reviews and other periodicals". Następna edycja, sześćkroć powiększona, ukazała się 1873 r. Odtąd uzupełniano ją ciągle, przy współudziale dziennikarzy, literatów i księgarzy, i w ten sposób w roku bieżącym powstało dzieło o dwóch tysiącach stronnic: „An Index to periodical literature", drukowane w Bostonie, które Anglicy nazwali godnym podziwu Indeksem. Aby dać pojęcie o tym zbiorze, dość powiedzieć, iż zawiera sprawozdania z treści 200 czasopism, drukowanych w Anglii od 1802 r.

Francja od lat kilkudziesięciu szczyci się Polibiblionem. Jestto wydawnictwo miesięczne, w dwóch częściach, obejmujące wykazy najnowszych publikacji, oraz osnowy czasopism. Podobną bibliografia od lat kilku wydaje się w Madrycie, a jak jest szczegółową, dość powiedzieć, iż w niej spotykamy wykazy z „Bibl. Warsz.", „Atheneum", i „Niwy". Istotnie, w tym stanie rzeczy, przy względzie na sąsiedztwo Niemiec pobliższich, i przykład ich sumienności na tem polu, w co się już dla braku miejsca szczegółowo nie wdajemy („Neuer Anzeiger für Bibliographie und Bibliotekwissenschaft, von Petzholdt"; „Allgemeine Bibliographie von Deutschland"; „Allgemeine Bibliographie der deutschen und ausländischen Literatur von O. Kistner"), wstyd było, że u nas o niczem podobnem nie pomyślano.

Wprawdzie, już Dmochowski, na początku wieku bieżącego, ułożył spis artykułów, zawartych w 20-tu tomach „Pamiętnika" (1801—1805 r.) Praca ta jednak pozostała w rękopiśmie i w tej formie dołączoną nie była do ostatniego poszytu wydawnictwa. Urzeczywistnił ją Bentkowski dodając do 21 tomu swojego pisma (1815—1821) porządną tablicę analityczną całego zbioru.

Były to jednak usiłowania pojedyncze, za których przykładem poszedł „Tygodnik polski" (tomów dwadzieścia, 1818—1822) redakcja „Wizerunków" (treść 24 zeszytów), oraz wyjątkowo niektóre inne pisma. W pomnikowym „Zbiorze" swoim Iocher (1840 r., w tomie I., str. 367) ugrupował bibliografię czasopism poszytowych od r. 1737 do 1830, uprzedzając, że pracowita jego kwerenda nie wyczerpuje całego materjału. Zacny Estreicher, pod rubryką „Czasopism" w swej pomnikowej „bibliografii", usystematyzował w skróceniu zawartość niektórych czasopism. Była to jednak praca niemożliwa dla człowieka, mającego zamiar spisywać książki, co już i tak siły pojedyncze wyczerpywało.

Właściwie umiejętnie pojęto zadanie podporządkowywania zbiorów perjodycznych w sumiennym spisie.

Glücksberga, sporządzonym 1876 r. dla „Kłosów" i Estreichera dla „Tyg, Ill." 1877 r. i „Bibl. Warsz." 1875. Indeksy te wszakże, jako specjalne, nie zaspakajały potrzeby ogólnego spisu zawartości literackiej dziennikarstwa.

Dopiero Wisłocki, przed pięciu laty, wciągnął do swego „Przewodnika bibliograficznego" rubrykę czasopism poszytowych, oraz ilustracyj. Wydawca wszakże mając głównie na względzie publikację książkową i kronikę działalności na polu bibliografii znawstwa i druków, nareszcie stosunki księgarskie nie mógł czasopiśmiennictwu specjalnej poświęcić rubryki, zadawalniając się ogólnemi notatkami, w kształcie ogłoszeń o treści czasopism pomienionych.

Posterunek więc nie zajęty zajął dopiero u nas p. Paprocki, rozpocząwszy w roku zeszłym, gdy niedokładny katalog Czarnowskiego przestał wychodzić, wydawnictwo miesięczne „Wiadomości Bibliograficznych", które obok wykazów książkowych, miało spełnić posłannictwo notowania postępu myśli na polu dziennikarstwa. W dwuarkuszowym zeszycie pomieszczano spis książek wydawanych w kraju lub zagranicą, i od czasu do czasu przeglądu dziełek, mających znaczenie dla ogółu szerszego, wreszcie ogłoszenia o nowych wydawnictwach.

Najważniejszą jednak dla nas rubrykę stanowi bibliografia czasopism. iście koboldowa praca, a dla robiących kwerendy niepospolitego znaczenia; wystawmy sobie spis wszystkich artykułów dziennikarskich, usystematyzowanych, ustawionych w szeregi, jak żołnierzy. Ogromny dorobek literacki ukryty w ruchu prasowym, dzięki tej pracy, już nie zaginie, gdyż po upływie lat całych, gorliwy szperacz doszuka się go z łatwością. Niema tu opuszczeń, ani pomyłek, bo argus „Wiadomości" umie dobrze śledzić i artykuły chwyta w locie, a co ważniejsza, doskonale je segreguje, nie dając się przez tytuł, często nieodpowiedni, w błąd wprowadzić.

Jednem słowem, jest to wydawnictwo, wielkiej wartości, jedyne u nas, niestety! a pomimo to mało doznające poparcia. Czemu to przypisać, nie wiemy. Dowodzi to chyba, że daleko w tyle jesteśmy za Anglikami i Francuzami, którzy doskonale rozumieją wartość i znaczenie swoich „Indeksów" i „Polibiblionów", i protogują je i popierają wszelkiemi siłami.

Z. P.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza

